

## Requiem z miodem

Rex tremendae majestatis... - podśpiewywała z chórem, krojąc w kostkę ziemniaki. Zupełnie jakby mozartowski requiem nie był wziętym podkładem, przy którym kondukty utkane raz z łkania, raz z powinności, odprowadzają rozkołysaną trumnę do koślawej dziury.

Kiedy trudno rozstrzygnąć, czy utwór jest radosny, czy smutny, zwycięża muzyka - tak, jak wygrywa dzieło sztuki, którego nie da się błyskawicznie minąć, rzucając na osłode frazes typu „jakie piękne” bądź ochłap kalibru „jakie brzydkie”. Czy obraz, na którym odbywa się konna przejażdżka jest straszny czy urodziwy, jeśli zjawa barwy umarłych opina udami nie konia, tylko rozdęty korpus na zdrewniałych nogach, którego żebra służą wyłącznie jako rusztowanie dla wiotczującej błony zamiast ukrwionej skóry?

Rozmyślnie odrzucając rygorystyczną myśl awangardy, Zdzisław Beksiński sięgnął po warsztat dawnych mistrzów dla portretowania świata, który wtedy przecież nie istniał - miękkie od zgnilizny upiory nie wysypywały się drużynami na ekranach, nikt nie zmartwychwstawał po sto razy w grach. Zamiast dam rumieniących się stosownie dla salonowego malarstwa, cierpliwie pozowały mu wytwory nieszablonowej wyobraźni - usadzone a to na koniu w stanie ażurowego rozkładu, a to w nędzniejącym sercu opustoszałych krain. Upiory o skórach przejrzystości pergaminu spowijał nie koronką, tylko misterną siateczką pajęczyny; drapował w strojne szczypanki płytsze i głębokie zmarszczki, rozwarstwiał niezdrowe powieki na warstewki zarezerwowane dotychczas dla puszystych sukni z tafty. Złocisty miód zamienił w zakrzepłą wydzielinę, plusz kotary w zasłonę z zatykającego dymu, pudrowy róż aksamitu w popiół podrywany przez wiatr - warsztatowe mistrzostwo wykradzone nobliwym portretom i scenom z buduaru zasililo zastępy postaci o oczodołach zasklepionych ze strachu przed tym, co mogłyby zobaczyć. Straszny to widok, zszargany i wychudły krajobraz, czy piękny jak requiem, skrzętnie ukrywający w łacińskich słowach swój ostateczny, cmentarny kontekst?

Być może nie warto walczyć o rozstrzygnięcie, skoro rówieśniczka obrazów Beksińskiego - ogólnie pojęta awangarda - wygodnie umyka od ciężaru podobnie niestosownych pytań od lat, tęga od przemyśleń ołowianej masy, narastających z każdym wernisażem. O ile kompozycjom z kwadratów czy okręgów naturalnie pozwala się nas nie zachwycać - bo podziwiamy zastygłą

w nich myśl, nie widok - sztuce przedstawieniowej z pewnych względów nie wypada odpuścić. Ma się podobać albo ma być nieszczęsna, tak jak melodia ma być dla ucha precyzyjnie radosna lub smutna, a poezja nienagannie wolna od wulgaryzmów. Gdyby dylemat miał się rozwiązać w przestrzeni któregoś z obrazów, byłby to najpewniej widok spienionego morza, które Beksiński na jednym brzegu namalował w przejrzystym limonkowym kolorze brzasku, żeby na drugim rozlać wodę płaskim językiem - słonym lustrem, w którym obija się śpiąca jeszcze twardo pod księżycem, granatowa głusza.